

BIBLIOTEKA
KRAJOWA
W BYDGOSZCZY

ISKIERKI

Bydgoskie

PISEMKO

MŁODZIĘŻY

SZKOLNEJ

Nr 7

MAJ-CZERWIEC

Rok 45/46



Z. WESULEK



Żywe pomniki

Zbliżał się powoli dzień 5 maja 1946 roku, kiedy szkoła im. Henryka Sienkiewicza miała urządzić uroczysty obchód setnej rocznicy urodzin swego patrona.

Zebrała się liczna gromadka Zbyszków, Stefków i Andrzejów. Nie brak małego Michałka ani długiego Longinka, ale Janków i Stasiów to jakby kto nasiał. Obok nich Danusie, Basie i Krysie, dalej Agnieszka, „co wypuszcza skowronka z mieszka“, zwana też czasem Jagienką, a w środku Helenka, Oleńka i Hanezka mała jak szpileczka. Przewodził wszystkim Henryk.

Nie domyślają się nawet basalyki, komu zawdzięczają swoje imiona. Niektóre z nich już nieraz zastanawiały się nad tym, dlaczego właśnie te, a nie inne wśród nich powtarzają się tak często. — Bo ładne!

— Bo się podobają! — Ba, to nie sztuka dać taką odpowiedź! Ale dlaczego się podobają? Trudna zagadka, co? Do pewnego czasu musiała zostać tajemnicą. Tymczasem zebrani musieli myśleć o czym innym. Mieli zupełną swobodę wyboru zarówno formy, jak i treści obchodu, ale z tym właśnie był największy kłopot, bo nikt nie wiedział, z czego miał wybierać. Po prostu nie wiedzieli, z którego końca zacząć. Ale potrzeba jest matką wynalazków.

Po długich naradach uchwalili, że najpierw każdy dowie się o Henryku Sienkiewiczu tyle, ile będzie mógł, a później, gdy zgromadzą razem wszystkie materiały, to wybiorą z niego, co będzie najlepsze i urządzią akademię. Przystąpili do wykonania planu.

Janek ze Stefkim udali się zaraz do Biblioteki Miejskiej. Z wypożyczonej książki na miejscu przeczytali cały życiorys. Zanotowali sobie krótko: Henryk Sienkiewicz urodził się 5 maja 1846 roku w skromnym dworcu we wsi Wola Okrzejska, powiatu łukowskiego na Podlasiu. Kształcił się w Warszawie. Później podróżował po całej Polsce, po Europie zachodniej, Ameryce i Afryce. Napisał znane nam nowelki p. t.: „Janko Muzykant“, „Latarnik“, „Z pamiętników poznańskiego nauczyciela“, „Bartek zwycięzca“ i powieść p. t. „W pustyni i puszczy“, a prócz tego wiele innych, jeszcze nieznanych nam, lecz najpiękniejszych arcydzieł, jak „Krzyżacy“, „Ogniem i mieczem“, „Potop“, „Pan Wołodyjowski“, „Quo vadis?“ i inne. Za „Quo vadis?“ otrzymał nagrodę Nobla. To przynieśli na drugie zebranie.

Dziewczęta knuły coś po cichu i nie nie mówiły.

Tymczasem Zbyszek dowiedział się i wszystkim rozgłosił, że pierwszy pomnik autorowi „Krzyżaków“ został wystawiony w Bydgoszczy. Niektóre dzieci jeszcze sobie przypominają, jak stał wśród kwiatów w parku Kochanowskiego, ale współcześnie Krzyżacy zniszczyli go i ślad po nim zatarli.

Ciekawa, lecz również niepokojąca wiadomość przyniósł Staś, że gdy po wysiedleniu przy-padkowo przechodził przez Wolę Okrzejską, to widział tam wysoki pagórek w kształcie dużego kopca.

Starsi mówili, że to kopiec Sienkiewicza. Zupełnie podobny do kopców Krakusa, Wandy i Kościuszki pod Krakowem.

Do sypania go zjeżdżała się młodzież szkolna z najdalszych okolic. Ziemię wozili taczkami po ułożonych deskach, naokoło, coraz wyżej, aż na sam wierzchołek. Na tle jednostajnej podlaskiej równiny kopiec ten wyglądał malowniczo, ale Niemcy postanowili go zniszczyć. Co się później stało, nie wiadomo.

Miehaś, który dawniej był w Warszawie, przynosi wieść jeszcze smutniejszą, że Henryk Sienkiewicz żył 70 lat, a zmarł w Szwajcarii w roku 1916, na dwa lata już tylko przed odzyskaniem upragnionej przez niego niepodległości. W kilka lat później prochy jego zostały sprowadzone do wolnej Polski i złożone w katedrze św. Jana w Warszawie. Podczas powstania stolicy przeciwko ciemiężcom niemieccy zbrodniarze zamienili wspaniałą katedrę wraz z całą Warszawą w gruzy.

Zapanowała grobowa cisza. Po chwili mileżenia odzywa się Henryk: — Za zebrane wiadomości dziękuję, ale zdaje mi się, że z samego bólu nie zbudujemy. Samym zaciskaniem pięści swej akademii też nie urządzimy.

Myślę, że dla pokrzepienia sere i umysłów musimy wydobyć coś z samych dzieł Sienkiewicza. Tylko szkoda, że jedna połowa coś robi, a druga, jak skromny fiołek ukrywa się w trawie i nic... — Prawda! Prawda! — zgodnym chórem krzyknęli chłopcy, patrząc podejrzliwym okiem w stronę swych koleżanek, radzi ze swej chwilowej przewagi.

Basia, domyślając się, o co chodzi, prosi o głos i oświadcza: — Uważam, że słuszna jest myśl zachęcenia do czytania tych, którzy tego nie robią, bo umieć na pamięć tytuły dzieł, to zbyt mało, a do tego, by pokochać jakąś ideę i według niej postępować, to najpierw trzeba ją poznać. My chcielibyśmy dopomóc tym, którzy sami nie mają możliwości zdobywania wiedzy. Przyniosłyśmy te wszystkie książki, o których mówił Janek. Oddajemy je do naszej biblioteki. Chłopcy już zaczęli klaskać. — Przepraszam bardzo, jeszcze nie skończyłam. Przy tej okazji chcę wam zdradzić tajemnicę, której się już dowiedziałam. Moja mamusia i tatuś, zanim mnie do chrztu powieźli, gdy byłam jeszcze mała, kupili to jubileuszowe wydanie i najeźściej je czytali, bo te książki uważali za najpiękniejsze w świecie. To jest nasza pamiątka rodzinna. Zapytajcie i wy rodziców, jakie książki najbardziej im się podobały, a później szukajcie swych imion.

— Bravo, Basiu, bravo! — krzyczą rozentuzjzmowani chłopcy. To ci się udało! Odniosłaś nad nami zwycięstwo!

— Aha! A nie mówiłem już wam — woła na głos Jaś Zagłoba — że nasz patron sam stawia sobie pomniki!

— Żywe pomniki w sercach tych, którzy go kochają — dodaje Andrzej. — Takie, żeby ich Niemiaszkowie nie mogli powywracać! Cha, cha, cha, cha! — śmieją się zadowolone basalyki. Henryk z przejęciem dziękuje Basi za wspaniały dar i tak bardzo miłe koleżeńskie podejście, którym zostali zaskoczeni. Wszyscy zebrani rzucają się do książek.

— Stare są już one, ale wyglądają lepiej niż najnowsze — stwierdza Stefan. — Doskonale nadawałyby się na wystawę.

— Świetna myśl — podchwytuje Henryk — ale wpiery musimy dowiedzieć się, co z nich nadawałoby się na naszą akademię. Wystarczy nam z każdej tylko jeden obrazek. Proponuję, by do każdego tomu zgłosiło się na ochotnika troje, bo po tyle wypada. Każda trójka w ciągu tygodnia wybierze najodpowiedniejszą scenę i zaprojektuje sposób odtworzenia jej podczas akademii. Za tydzień próba. Podczas próby wybierzemy to, co się wszystkim najbardziej podoba. Czy zgadzacie się? — Tak, zgadzamy się! — odrzekł zgodny chór zebranych. W ciągu paru minut spisano, kto i za co bierze na siebie odpowiedzialność. Teraz dopiero zaczęła się robota. — Jakby jakieś zawody literackie!

— Ale gdzie tam — Prawdziwe pospolite ruszenie!

Bo i kogóż by to wszystko nie mogło poruszyć?

Tu Krzyżacy porywają Danusię, by ją zamęczyć.

Tam strasznie kaleczą Juranda. Słychać rycerską pieśń bojową „Bogurodzica“ i szezęk oręża pod Grunwaldem.

Tam znów Krzywonos z całą swą potęgą, niby szarańcza z „Dzikich Pól“ na nasze lany spada, ogniem i mieczem pustoszy i w jasyr bierze.

Tu „Zerwikaptur“ trzy lby za jednym zamachem odwala, a tam wlerne serce, co ślubu dochowało, przeszyte grotem strzały, ostatnie swe technienie „Królowej Korony Polskiej“ oddaje.

Tu wściekły Müller resztę swych spróchniałych zębów na ostatnich basztach wolności Jasnej Góry szczyrbi, a tam bezbronna górale gołymi rękami lawinę skał na karki najeźdźców wżwalają. Tu dla ojeźny ratowania od zalewu potopem dzielne hufce rzucają się przez morze, a tam niepozorny ciałem, lecz największy duchem „Mały Rycerz“ wraz z sobą grzebie pod gruzami nieprzełączoną emę polanieów. Wstają mściciele. Idą. Wtem słychać jakąś muzykę.

— Co to, larum grają?

— Nie, to nasz Janko Muzykant po powrocie z konserwatorium wraz z kolegami z bursy przygotowuje na akademię swój pierwszy koncert.

F. Łukasik.

Stefan Czarniecki w Bydgoszczy



Potop szwedzki załapał Polskę. Najeźdźca opanował także miasto Bydgoszcz i zamek. Pewnego poranka zebrali się w gospodzie mistrzowie zanego cechu szewskiego ze starszym na czele. Właściciel gospody wtoczył do izby tradycyjną baryłkę piwa i napelnił cynowe kubki. Omówiono sprawę egzaminu mistrzowskiego, któremu zamierzał się poddać jeden z czeladników.

Po załatwieniu sprawy rozmowy stały się swobodniejsze i żywsze, lecz głosy więcej przyciszzone.

— To mówicie, mistrzu Ignacy Dratwo, że nasi Szwedów biją?

— Jest, jakoście rzekli — odpowiada zapytany. — Od chwili, kiedy Müllerowi oparła się Częstochowa, Szwedom powodzi się coraz gorzej. Goni ich Stefan Czarniecki, bije, zasadzki na nich urządza. Mało wiecie, mistrzu Wincenty.

— Skądże mam wiedzieć? Nie wychodziłem z domu w ostatnim czasie. Znowu mi podagra dokucza. Zwyczajnie, jak to na wiosnę.

— Więcej wam powiem — ciągnie dalej Ignacy Dratwa. — Idą słuchy, że nasz dzielny wódz stoi na Kujawach, niedaleko jeziora Gopła. Czeka na nas.

— Jak mam to rozumieć? Mówcie wyraźniej.

— Zaraz wam powiem — wtrąca się do rozmowy sąsiad z przeciwnika. — Do miasta przybywają potajemnie wysłańcy wodza. Głoszą, że Stefan Czarniecki czeka, aby mu Bydgoszcz otworzyła bramy. Załoga szwedzka jest nieliczna. Pokonanie jej nie będzie rzeczą trudną. Wszystkie cechy ruszają się i chcą dopomóc do wyswobodzenia miasta spod okupacji szwedzkiej.

— A czymże będziemy walczyć?

— Tym, co kto ma pod ręką. Mamy w swoich szeregach byłych żołnierzy, mamy sporo broni przechowanej. Puszkarze ponoć nagromadzili dużo strzelb. Kupey także przygotowują się do rozprawy z przeciwnikiem.

— Kiedyż ona ma nastąpić?

— Jeszcze w marcu.

Istotnie, pewnej ciemnej marcowej nocy 1656 r. powstałi bydgoszczanie przeciw Szwedom. Wiatr zimny dał od zachodu. Drogą wiodącą z Inowrocławia szedł oddział jazdy Stefana Czarnieckiego. Rozmokły piasek tłumil odgłosy kopyt końskich. Przysadziste chaty Przedmieścia Kujawskiego stanowiły doskonałą osłonę dla posuwającego się w kierunku Bydgoszczy wojska. Nie spostrzeżone stają u bramy miasta i czeka...

W międzyczasie gromady uzbrojonych mieszczan uderzyły na nie spodziewających się zasadzki Szwedów i z łatwością ich pokonały. Jeden z oddziałów powstańczych ruszył do bramy, aby ją otworzyć wojskom polskim. Straże szwedzkie, słysząc zbliżające się kroki, pytają o hasło.

— Dam ja wam hasło — odpowiada Ignacy Dratwa. Krótkie szamotanie... i pierwszy Szwed wali się z nóg. Po chwili drugi... trzeci... Brzęczą łańcuchy, skrzypią zawiasy, już brama na oścież otwarta. Na moście przerzucenym przez fosę okalającą mury miejskie ukaże się jazda Stefana Czarnieckiego.

— Witamy was, dzielni wybawiciele, w murach naszego grodu! — wołają uszczęśliwieni powstańcy.

— Niech żyją! Niech żyją!

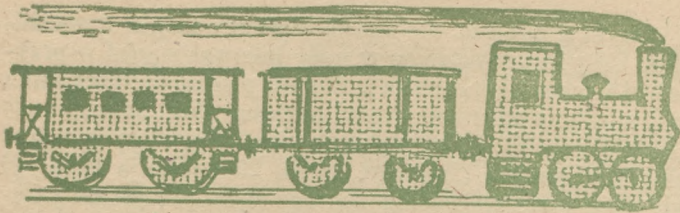
Wiwatowania przerywają nocną ciszę.

Kilka dni później ożywiony ruch panuje w mieście. Bydgoszczanie przyozdabiają domy w eborągwie i zieleń. Nie mogą się napatrzeć polskim żołnierzom, którzy po siedmiu miesiącach szwedzkiej okupacji oswobodzili miasto. Wyczekują pojawienia się bohaterskiego dowódcy Stefana Czarnieckiego, którego imię sławą rozbrzmiewa w całej Rzeczypospolitej. Otóż zbliża się na ulubionym białym koniu. Uśmiechnięty, kłania się w prawo i lewo, dziękując za liczne dowody wdzięczności i uwielbienia. Przy jego boku jedzie wojewoda pomorski Jakub Weyher.

Stefan Czarniecki po kilku tygodniach ustąpił z Bydgoszczy przed nacierającym z nowymi siłami bratem króla szwedzkiego. Lecz nie pozwolił przeciwnikowi zaznać spokoju. Ruchliwy i nieuchwytny gnębił go stale. Wreszcie w czerwcu 1657 r. wojska szwedzkie opuściły Bydgoszcz, a wkrótce całą Polskę, aby walczyć przeciw Danii, która im wypowiedziała wojnę.

W czasie pobytu Szwedów w naszym mieście spłonął zamek bydgoski.

Joanna Markowska



Syn maszynisty

Kiedy ojciec Leszka wraca ze służby, niewiele słów można z niego wydobyć. Jest zmęczony. Ręce i twarz noszą ślady wytężonej pracy. W zagłębieniach skóry czerni się brud, nie dający się usunąć powierzchownym obmyciem. Toteż, kiedy tylko przekroczy próg mieszkania, zrzuca z ramion skrzynkę z niezbędnymi narzędziami i zabiera się do gruntownego mycia. Leszek czeka cierpliwie, aż ojciec zaspokoi pierwszy głód, bo potem to już można zapytać, co nowego wydarzyło się na przejechanej trasie. Być maszynistą towarowego pociągu, prowadzić do wytkniętego celu bez opóźnień długie rzędy czerwonych wagonów, mieć oczy napięte w ciągłej uwadze, bez przerwy kontrolować przyrządy i liczne zegary, nie zapominając ani na chwilę o dwu błyszczących srebrem smugach toru — to zadanie nietatwe.

Leszkowi zdaje się, że praca ojca, aczkolwiek męcząca i odpowiedzialna, w gruncie rzeczy należy do przyjemnych. Miłe musi być uczucie, gdy na stację wiejską z wielkiego miasta przywozi towarowy pociąg maszyny rolnicze, plugi i brony, na których widok twarze wyczekujących rolników rozjaśniają się uśmiechem zadowolenia. Kiedy indziej znowu czarne, mocne cielsko lokomotywy ciągnie za sobą nie kończący się szereg wagonów z darami wsi i zatrzymuje się na jednym z licznych torów miasta. Jakaż to musi być przyjemność, być stale w ruchu, witać zmieniające się co dzień pola i lasy, które zdają się podążać za pociągiem, z ogromnym hałasem przejeżdżać przez ciche stacje wiosek i wielkie hale, dworcowe miasta, które pociąg pogardliwie omija, aż gdzieś daleko przystanie dłużej na stacji przeznaczenia.

Z zamyślenia wyrывa go głos ojca:

— No, Leszku, co w szkole nowego? Odrobileś już lekcje?

— U mnie nic ciekawego nie zaszło. A tobie, ojcze, jazda minęła szczęśliwie?

— Mieliliśmy mały wypadek. Na jednej ze stacyj młody palacz Skubala, który obecnie odbywa naukę prowadzenia parowozu, zbyt raptownie pociągnął za hebel. Maszyna szarpnęła gwałtownie, porwała za sobą pierwsze wagony, bufory trzaskaly o siebie, nastąpiło sprzężenie. Byłoby wszystko w porządku, gdyby ostatnie wagony nie były załadowane ciężkimi maszynami. Ciężar tych wozów przygniótł znajdujący się w środku próżny wagon, którego bufory nie wytrzymały nacisku. Jedna ze ścian uległa zniszczeniu. Siedzący w budce strażnik kolejowy potłukł się poważnie, ale na szczęście nie mu nie grozi. Widzisz z tego, że zawód maszynisty wymaga nie tylko dużo siły, ale i wyczucia. Swoją drogą — ten Skubala przysporzył mi kłopotu. Będę miał nieprzyjemności. Tyle razy go pouczalem. Sprawował się niezłe. Aż tu naraz... Zmęczony jestem, kładę się spać. Niedziela mam wolną. Jeżeli będziesz miał ochotę, zabiorę cię do warsztatów kolejowych na uroczystość poświęcenia pięćsetnego parowozu, naprawionego w ciągu pierwszego roku po wyzwoleń.

Ojciec dotrzymał przysiężenie. Ogromna hala warsztatów wypełniona była po brzegi ludźmi. Wysłuchano kilku przemówień. Oklaskiwano występ chóru i orkiestry. Na naczelne miejsce wyznaczono jubilatkę: pięćsetną lokomotywę, doprowadzoną do stanu używalności. Przystrojono ją w barwy narodowe, a na przedniej ścianie umieszczono cyfrę: 500. Po skończonych uroczystościach, gdy tłumy ludzi poczęły wylewać się na ulicę, ojciec przecisnął się z Leszkiem do lokomotywy. Objął, wymieniał szereg nazw: hamulec, pompy powietrzne, hebel, zatrask komory dymnej, poławiacz iskier, palenisko. Leszek słuchał uważnie, starał się nazwy te sobie zapamiętać i wodził wzrokiem za spojrzaniem ojca, który zdawał się rozmiłowanymi oczyma dotykać te wszystkie części jak pięściwą ręką.

Było już późno. Czas wracać do domu. Szli dłuższą chwilę w milczeniu.

— A jak ludzie podróżowali, gdy nie było jeszcze kolei żelaznej? — domagał się wyjaśnień syn.

— Jeździli pocztą konną, później zaprzęgali konie do wagoników, które toczyły się po szynach.

— Mądry musiał być bardzo i pewno dużo szkół ukończył wynalazca lokomotywy?

— O, tak. Jerzy Stephenson był nie tylko mądrym, ale przede wszystkim wytrwałym w pracy. Wyobraź sobie, długie lata był pastuszkami i gdy ukończył dziewiętnasty rok życia, nie umiał jeszcze ani pisać, ani czytać. Największym jego marzeniem było pracować w zawodzie swojego ojca, zostać palaczem maszyny parowej. Chłopiec uporem i wytrwałością doszedł do celu. W myślach wyobrażał

sobie maszynę, która by o własnych siłach ruszyła z miejsca. Ile ona by dobrego mogła wyświadczyć ludziom! Postanowił się zabrać do nauki. Uczył się w dzień, a w nocy ładował węgiel w przystani. Wyuczył się sztuki szewskiej, krawieckiej i zegarmistrzowskiej. Zbierał pieniądze przez kilka lat. W końcu zabrał się do budowy ruchomej maszyny parowej. Ułożył poziomo tłok, połączył odpowiednio koła na wspólnej osi. Nadał im ruch obrotowy, który wskutek tarcia kół o szyny wprowadził w bieg lokomotywę. Pierwszą lokomotywę nazwał „Milord“. Dzień 25 września 1825 był pamiętym dniem w dziejach Anglii. W tym dniu pierwszy pociąg wiozący ludzi przejechał przestrzeń pomiędzy Stoctonem a Darlingtonem.

— Anglicy musieli chyba ubóstwiać za to swego rodaka?

— O, tak. Wynalazek przyniósł Stephensonowi wielką sławę. Musiał jednak walczyć z zacofaniem i ciemnotą ludzką. Zaczęto obawiać się, że dym i para zasłonią słońce, zamroczą niebo, zatrują powietrze, że bydło płoszyć się będzie na widok pociągu, że iskry padające z komina wzniecać będą pożary.

— Dziś w to już nikt nie wierzy — stwierdza Leszek.

— Długość torów kolejowych na świecie przekracza milion kilometrów. Można by nimi opasać 25 razy kulę ziemską na równiku.

Dochodzili do domu.

Udano się wcześniej na spoczynek, gdyż ojca czekała nazajutrz ciężka służba.

Kiedy Leszek przymknął powieki, przyśniło mu się, że jest maszynistą i sam, bez pomocy palacza ciemną nocą prowadzi pociąg w nieznaną. Wychyla się co chwila przez okno i ku swemu przerażeniu widzi czerwone światło semaforu, naciska hamulce — ale pociąg nie staje. Przymyka oczy, by nie widzieć katastrofy, która musi się za moment wydarzyć. Próbuje jeszcze raz. Gwałtownym ruchem całego ciała przesuwając hamulec ku dołowi. Coś zgrzyta, coś huczy, lokomotywa zatrzymuje się, ale potem wolno, wolniutko stacza się w przepaść...

Wstając o świcie ojciec zastał syna wychylonego z łóżka i trzymającego się kureczowo poręczy krzesła. Ułożył Leszka na środku posłania, pocałował w czoło i cicho wyszedł z pokoju.

Franciszek Grott



Rozdzieliły pół zagony
rozpędzone w przód wagony;
grzmi tętentem, dudni nasyp,
tłumiąc ranny koncert ptasi.

Kół łomotem czarna ściana
lasy, wzgórze precz odgania;
nieomylną linią toru
sunie w przestrzeń wczesną porą.

Jak wąż gnie się w śmiałych łukach
i na głośnych wsparty hukach
ciszę dolin gwizdem pociąg
z miast dalekich szybki pociąg.

Wznosi się do nieba stropu
z dymnych, białych mgieł pióropusz;
cichnie, milknie stali stukot,
pędzi pociąg hen, na ukos.

Jeszcze tylko gdzieś na moście
załomotał i na oścież
się rozwarła droga długa,
rozszrebrzona w jasnych smugach.

Aż gdzieś w dali w kolcach wieżyc
podbiegało coraz szerzej,
coraz bliżej miasto szare,
przytłoczone chmur ciężarem.

Franciszek Grott

Tajemniczy dokument

Hans był tym, który nie mógł i nie chciał zrozumieć, że przybycie Polaków do jego rodzinnej wsi jest słuszne i sprawiedliwe. Wierzył uparcie, że jemu i jego ziomkom dzieje się straszna krzywda. Bo jak to zrozumieć, żeby on musiał opuszczać tę ziemię, a tu żeby się osiedlali jacyś Polacy, którzy do Śląska żadnych praw nie mają. Bo tu od wieków żyli Ślązacy, ale nigdy Polacy.

Gdyby mógł, rozplakałby się ze złości. Po co tu przyszli? Po co zabierają im ziemię? Jakim prawem?

I powoli dojrzewa w nim straszny plan. Zwierzył się trochę swoim kolegom, którzy uznali tę myśl za godną zastanowienia. Jeśli nie pozostało im nic innego, to przynajmniej zemsta! Tak pouczali go niemieccy przełożeni.

Właśnie dziś w nocy muszą się zejść pod młynem i ułożyć plan działania. Muszą się śpieszyć, bo wysiedlenie Niemców postępuje naprzód. Z tej wsi wywieziono wczoraj dziewięć rodzin niemieckich. Dziś w tych pięknych domach siedzą Polacy. Siedzą... ale czy będą siedzieć? Zobaczymy!

Hans denerwuje się. Zbliża się chwila ostatecznej decyzji. Zresztą rzecz postanowiona. Tylko sposób wykonania trzeba omówić. Trucizna jest. Chodzi o to, kiedy ją wsypać do studzien? Oczywiście tylko wtedy, gdy odjedzie ostatni transport i we wsi będą już sami Polacy. Niech potem giną jeden po drugim! Żeby nikt nie domyślił się, trzeba teraz z Polakami postępować jak najlepiej. Trzeba udawać życzliwość i zdobywać ich zaufanie. Hansowi nie przyjdzie to z trudem: jako miejscowy Niemiec zna też gwarę śląską, którą od biedy można się dogadać z Polakami.

Hans chodzi koło domu i patrzy po niebie. Słońce zachodzi. Hans wie, że tam, gdzie teraz słońce styka się z ziemią, jest piękna rzeka Odra. Tam właśnie wpada do niej Nysa. Zdaje mu się, że czuje miły chłód tych rzek. I zaraz zadaje sobie pytanie, dlaczego te rzeki są mu tak bliskie. Dlaczego ta ziemia, ten dom... Musi jednak myśleć o czym innym, bo Niemcowi roztkliwiać się nie wolno. To oznacza słabość, a on musi być silnym. Do wykonania zemsty i do opuszczenia tych stron. Do opuszczenia na zawsze. Przynajmniej tak mówią Polacy. Ale to się jeszcze zobaczy!

Teraz radzą z ojcem, że należałoby mieć najpotrzebniejsze rzeczy spakowane, aby być gotowym, gdy zjawi się milicja z polskimi urzędnikami. Wolno im zabrać tyle, ile uniosą.

Więc zaczyna się przerzucanie rzeczy i odkładanie tych najważniejszych. A potem jeszcze sam Hans przetrząsa wszystkie zakamarki domu, szpera po strychu, zagląda do zapomnianych schowków. W jednym znalazł jakiś pakiet, zakurzony, sznurkiem owiązany. Co to? Pobiegł z tym do ojca. Lecz ojciec nie chciał nic mówić. Zresztą nie ma o czym. Ten szpargał? Na pewno nie ważnego. Jakieś pamiątki jego ojca, a Hansa dziadka. Prosił, żeby mu to włożyć do trumny. Ale w rozgardiaszu zapomnieli i dopiero po pogrzebie spostrzegli, że życzenie dziadka nie zostało spełnione.

Hans aż się trząsł z ciekawości. Co to za pamiątka być może, którą dziadek chciał zabrać do grobu? Drżącymi rękoma rozrywał sznurki, a nie mogąc się z nimi uporać, przeciął je nożem. Potem stara cerata, papier wypłowiwały i wreszcie... książka! Zwyczajny stary modlitewnik, z krzyżem tłoczonym, z metalowym okuciem.

— Patrz, ojciec! Książka...

— „Ja, ja“, pamiętam: ojciec nosił ją zawsze do kościoła, nigdy zabrać nie zapomniał. Ta sama.

Hans przerzuca kartki i dziwi się, ale bardzo mało rozumie z tej książki. Obce słowa, nieznanne.

— Ojciec, po jakiemu to pisane? Przecież nie po naszymu?

Ojciec rzucił okiem na podsunięte karty. Niechętnie odwraca się.

— Schowaj to... albo lepiej spal. To chyba na nic niepotrzebne.

— Powiedz mi najpierw, po jakiemu to pisane?

Wreszcie dowiaduje się, że książka jest pisana po polsku. Hans wyczuwa, że jest tu coś nie w porządku.

— Ojciec, gadaj prędzej, dlaczego dziadek trzymał w domu takie książki? Gadaj, bo nie wytrzymam!

Lecz ojciec nie chciał mówić. W końcu wykrztusił, że dziadek był Ślązakiem.

Chłopcu kręci się w głowie. Nic nie rozumie. Ślązak, a całe życie modlił się z polskiej książki! A więc nie Niemiec! Po prostu... Nie, tego wymówić trudno. Więc jego dziadek był po prostu Polakiem! Kimże on jest?

Popadł w ciężką zadumę. W głowie pełno szumu, huk, wrzawy i gorąca. Nie wiadomo, ile czasu spędził w takim odrętwieniu. Zbudził go dopiero silny trzask.

Zerwał się. Co to? Pewnie milicja. Pewnie przyszli po nich. Ach, nie jeszcze! To tylko dziadkowa książka spadła i twardym okuciem uderzyła o podłogę.

Podniósł ją z pewnym szacunkiem i długo, długo trzymał w rękach. A gdy odłożył, nie był już tym samym Hansem. Reszty dokonała całonocna rozmowa z ojcem.

Następnego dnia udali się do urzędu, gdzie złożyli podania o uznanie ich Polakami. Jako rzeczowy dowód przynieśli książkę i papiery dziadka. Ojciec mówił dosyć dobrze po śląsku, więc w urzędzie bez trudu dali sobie radę.

Wracając spotykali osiedleńców pracujących na nowych gospodarstwach. Przystawali przy nich i bez uprzedzeń, bez nienawiści, ale życzliwie dawali rady, jako lepiej znający wymagania tutejszej gleby.

— W razie potrzeby przyjdźcie do nas. Wiadomo, że początek jest trudny.

Tamci, dziękowali, nie pojmując, co tych „Niemców“ tak odmieniło, że stali się jakby swoimi ludźmi. A gdy któryś z chłopaków odezwał się do Hausa, nazywając go po dawnemu, ten odpowiedział:

— Jeśli chcesz być moim sąsiadem i przyjacielem, nazywaj mnie Jankiem. Bardzo cię o to proszę. Serdeczny uścisk dłoni zastąpił resztę słów.

Wl. Dunarowski



Osobliwość miasta Lubawy

Najdalej na wschód wysuniętą częścią województwa pomorskiego jest powiat lubawski.

Wśród falistej okolicy, środkami powiatu wije się licznymi zakolami bardzo kręta rzeka Drwęca. W niewielkiej kotlinie, między wzgórzami nad rzeką leży siedziba władz powiatowych Nowe Miasto. Dawniej powiatowym miastem była Lubawa, położona o kilkanaście kilometrów dalej na północno-wschód. Bardzo ciekawą osobliwością miasta Lubawy są rzadko spotykane wodociągi naturalne. Teren na wschód od miasta podnosi się stopniowo do wysokości kilku piętér, a dalej wzgórze ciągną się aż hen ku historycznym polom Grunwaldu. W odległości dwóch kilo-

metrów od Lubawy leży słynna na całą okolicę cudowna miejscowość Lipy. Stoi tam wśród starych lip niewielki kościółek, a w jego oltarzu znajduje się piękny, cudowny obraz Matki Boskiej Lipskiej, otoczony głęboką czcią wiernego ludu.

Opodal kościółka wytryskują liczne źródła. Pobożni pielgrzymi od wieków czerpią z nich poświęconą wodę i w swych cierpieniach doznają ulgi.

Tryskająca ze źródeł woda przez długie wieki sphywała wartkim strumykiem po pochyłości w stronę Lubawy, ale zanim tam dopłynęła, to już nie nadawała się do picia wskutek zamulenia. Cała osada nie miała dobrej wody. Nawet ówczesny biskup lubawski w swoim pałacu, z którego tylko ruiny do dziś pozostały, gdy był spragniony, lub chciał swoich gości dobrą wodą poczęstować, to musiał do dalekich źródeł służbę posyłać.

Pewnego razu do biskupa lubawskiego przybył gość znakomity — Mikołaj Kopernik. Słyszał o braku dobrej wody w Lubawie. Udał się i on w czasie odpustu wraz z innymi do cudownego miejsca i tak samo, jak wszyscy, zaczerpnął wody ze źródła. Podziałała na niego ożyweco. Spojrzał wokoło bystrym wzrokiem i powziął wspaniałą myśl. Do pałacu biskupiego wracał z Lip, nie drogą wraz z orszakiem, lecz samotnie na przelaj przez gęsty las. Postanowił odwzajemnić się gościnnemu gospodarzowi i zostawić po sobie trwałą pamiątkę. Po długiej naradzie z biskupem została powzięta ważna decyzja. Postanowiono połączyć biskupi zamek ze źródłami lipskimi przy pomocy rur głęboko ukrytych pod ziemią. W kilka miesięcy później już wytryskała źródłana woda ze ścian wysoko wznoszącego się biskupiego pałacu. Było to nadzwyczajne zjawisko na owe czasy dla wszystkich, którzy przedtem tego nigdzie nie widzieli. Z biegiem czasu z tego samego źródła tryskały strumienie wody ze ścian nawet najwyższych piętér każdego domu uszczęśliwionych mieszkańców Lubawy. Wodociągi te zachowały się do dnia dzisiejszego. Minęły już wieki, a lud wierny obyczajom swych przodków tą samą drogą, zwaną dziś ulicą Kopernika, corocznie odbywa pielgrzymki do świętego miejsca w Lipach i nie zaniedbuje tradycyjnego obrzędu zaczerpnięcia własnoręcznie ze źródła cudownej wody, bo wierzy w jej moc uzdrawiającą, a wiara nigdy go nie zawiodła.

F. Łukasik

W Danii — w społeczeństwie chłopskim

Niemcy wywieźli Stacha w głąb Rzeszy na roboty. Pracował w Niemczech północnych na wielkim folwarku. Budzili go tam rano już przed wschodem słońca, a potem przez cały dzień popędzali od jednej pracy do drugiej aż do zachodu słońca. Nawet w niedziele nie zaznał spokoju. A ponieważ jesć dawali mu bardzo mało, ledwo pociągał nogami, a w każdym mięśniu odczuwał dotkliwy ból.

Stach z utęsknieniem oczekiwał klęski Niemiec i wyzwolenia z tej udręki, jaką dla niego był głód i praca ponad siły. Upadek Niemiec zbliżał się. Coraz donośniej było słycać huk dział frontowych. Aż pewnego dnia zupełnie nagle i nieoczekiwanie Niemcy zarządzili ewakuację. Wywieźli nad morze wszystkich cudzoziemców. Tam kazali im wsiąść na okręt i odpłynęli nie wiadomo dokąd. Po kilkunastu godzinach jazdy morskiej statek stanął w porcie w Kopenhadze. Stach najni spodzianie znalazł się w stolicy duńskiej.

Zaopiekował się nim tutaj pewien pan, Polak, delegat Związku Polaków w Danii. Obiecał, że zawiezie go na wieś. Tymczasem poszli do kawiarni, by zjeść śniadanie. Miasto było piękne, a ludzie w nim grzeczni i życzliwi. Stach dziwił się, że na jezdni pełno rowerzystów. Myślał, że przyjechali na zawody cyklistów, ale jego starszy towarzysz wytłumaczył mu, że każdy Duńczyk ma własny rower i do wszystkich zajęć wybiera się rowerem.

W kawiarni zjadł kilka smacznych bułek z masłem i napił się dobrze słodzonej białej kawy. Z ciekawością przyglądał się gościowi przy sąsiednim stoliku.

— Ręce ma twarde i grube jak chłop, a ubrany jest jak pan! — powiedział.

— A bo to jest rzeczywiście chłop. Przyjechał pewnie do miasta na zebranie zarządu spółdzielni, albo załatwić rozrachunki w banku spółdzielczym, albo też inne interesy go tu przyprowadziły. Tu chłop żyje dobrze, nie wstydzi się wejść między najlepsze towarzystwo, wszyscy go szanują. Zresztą zobaczysz sam, gdy będziesz na wsi.

Gdy się Stach posilił, zasiadł z owym panem do samochodu i pojechali na wieś. Gdy minęli przedmieścia Kopenhagi, wjechali w las, w którym było pełno saren i jeleni, a tak były oswojone, że nie uciekały przed samochodem, lecz przyglądały się jadącym ludziom. Zdziwił się Stach. Pan wytłumaczył mu, że ludzie z Kopenhagi przybywają do tego lasu na przebadzki i nikt zwierzętom krzywdy nie robi. Zwierzęta są do tego stopnia oswojone, że obwąchują kieszenie spacerowców, czy nie ma w nich przygotowanego dla nich chleba.

Stach dziwi się wszystkim, ale wyraz twarzy ma smutny.

— Cóż taki smutny? — zapytał się go jego opiekun.

Stach wyraził mu swoje obawy, że wiezie go pewnie znowu na jakiś folwark, gdzie przyjdzie mu pracować po 16 godzin na dobę. Ów pan ze Związku Polaków tłumaczy mu, że w Danii nie ma folwarków, że cała ziemia należy do chłopów.

Jechali asfaltowanymi drogami, a po bokach pola buraków, konieczyzny, pastwiska, stosunkowo mało zbóż. Krów na pastwisku bardzo dużo. Jednak nikt ich nie pilnuje. Aż dziwne, że nie robią szkody w polach buraczanych. Pan pokazuje mu drut, którym pastwiska są otoczone. Drut jest naladowany elektrycznością niewysokiego napięcia. Krowy boją się przybliżyć do drutu, dlatego szkody nie robią i nikt ich nie pilnuje.

Pod wieczór zajechali do gospodarza, u którego Stach miał zamieszkać. Czystość wszędzie nadzwyczajna. Było już po udoju, więc na podwórku stało pełno konwi napelnionych mlekiem. Jutro odwieżą je do spółdzielni mleczarskiej. Stach dowiedział się, że w Danii na 1000 mieszkańców przypada 807 sztuk bydła (w Polsce przed wojną — 305) i że Dania eksportuje masło do innych krajów. Widział też, jak odbywało się karmienie kur i jak gospoście nosiły jajka do koszy. Jutro odwieżą je do spółdzielni jajczarskiej. Opowiedziano mu, że w małej Danii jest 19 milionów kur. Poznał, że pracowitość chłopa, umiejętność gospodarzenia, dobra organizacja sprzedaży i kupna poprzez spółdzielnie jest źródłem bogactwa Danii.

Gospodarz duński przyjął młodego Polaka z wielką życzliwością. Zaprowadził go do swego domu. W przedpokoju telefon. Właśnie syn gospodarza dzwoni do giełdy jajczarskiej i pyta się o ceny jaj i o cenę nowej wylęgarni kurecząt. W pokoju posadzili Stacha na kanapie i przepraszają, że kolacja jeszcze nie jest gotowa, ale będzie za pół godziny. Stach rozgląda się po pokoju. Wszędzie czystość wzorowa. Słyszy muzykę z radia, na stole widzi najświeższe gazety, a w rogu szafę z książkami. Rzucił wzrokiem na ścianę. Nad biurkiem, na którym leżały arkusze z rachunkami gospodarczymi, wisiał dyplom oprawiony w ramki, a obok zbiorowa fotografia. Z dyplomu wynikało, że gospodarz ukończył uniwersytet ludowy. Stach oglądał to wszystko i szepnął sam do siebie:

— Teraz rozumiem, że ręce mają grube i czarne od pracy, ale mieszkają, zachowują się i żyją jak panowie.

L. B.



Światło pod strzechą

Nie miała szczęścia Helka dziś przy pasieniu. Krowy jakby oszalały, tylko gzić się chciały, a do skubania trawy nie miały ochoty. Co prawda, ten ugór już jest mocno wydeptany i wypasiony, ale Helce się zdaje, że krowy są od tego, aby skubały, a nie patrzyły po niebie. Z chmur mleka nie nabiorą. A mleko jest bardzo potrzebne. Toć to jedyna omasta w domu.

Więc Helka na różne sposoby próbuje krowom przemówić do rozsądku. Trochę kijem, trochę śpiewaniem. Przy którejś zwrotce krowy tak się przejęły smutną melodią, że pospuszczały gęby ku ziemi i zaczęły tak skubać, jakby tam był nie ugór wypasiony, ale zielona łąka.

Teraz uszczęśliwiona Helka wyszukała sobie zaciszne miejsce pod krzakiem i zabrała się do czytania. A gdy doszła do miejsca najbardziej przejmującego, jak to Jurandowi Krzyżacy oczy wylupili, usłyszała nad sobą przeraźliwy krzyk siostry:

— Jak ty pasiesz?!

Od złych Krzyżaków wróciła Helka do jeszcze gorszej rzeczywistości: na pastwisku z krów ani śladu. Tylko siostra darła się w niebogłosy.

— Obie krowy uciekły do domu i weszły w kapustę! Ale ci tata sprawią! To ci pasterka!

Helka porwała się z miejsca i pognąła ku domowi, mocno trzymając książkę pod pazuchą. Po drodze zawieruszyła gdzieś chustkę, ale książki nie zgubiła.

Nieśmiało podeszła do ojca, który wypędzał krowy ze szkody. Bała się bardzo, ale ojciec jakby na nią nie patrzył. Jakby o czym innym myślał. Pokiwał tylko głową i powiedział:

— Co z ciebie będzie, dziewczyno? W książkach tylko siedzisz, a zapominasz, że z tego człowiek nie wyżyje.

Mimo to zaczęły się z matką narady, czyby Helki nie posłać do szkół. Właściwie parła do tego matka.

— Możeby my się przemogli na tę gimnazyją... co myślisz?

Ojciec myślał, że będzie ciężko. Z trzech morgów opłacić stancję, książki — to prawie ponad siły. A poza tym co dziewczynie po szkołach? Chłopeu co innego: może zostać księdzem, doktorem, sędzią. Ale dziewczyna...

Jednak matka postawiła na swoim. Helka pojechała do egzaminu i zdała bardzo dobrze. Zdawało aż pięcioro z jej wsi, więc czuła się dużo śmielej. Wszyscy potem mówili, że zdała najlepiej. Biedny ojciec nie sprzeciwiał się więcej. Był nawet dumny, że o jego córce tyle we wsi mówią. Ej, żeby to gimnazjum poszło tak gładko i bez kosztów jak ten egzamin! No, trzeba radzić.

Pod jesień na wypakowanym wozie jechała Helka do odległego miasta — na naukę i nowe życie. W kuferku wiozła sobie bochenek chleba i garnus masła. Miało to starczyć na tydzień. Bo na stacji zgodziła się owa pani dawać tylko obiady, a rano i wieczorem czarną kawę.

Często gęsto nie starczyło tych zapasów w kuferku. Wtedy post i wyczekiwanie jarmarku: może będzie paczka z domu? Denerwujące oczekiwanie południa. Bo jeśli do tego czasu nikt się nie pokazał, to znak, że nikogo ze wsi nie ma. Że zapomnieli, albo coś zaszło. Ale co teraz? Już wczoraj przeszukany kuferok świecił pustkami. A może który z kolegów dostał paczkę? Trzeba się przewidzieć i pożyczyć choćby jedną kromkę chleba. I czekać cierpliwie, aż sobie przypomną w domu i coś przysła.

Tymczasem miesza się w głowie... Łacina, Morze Kaspijskie, Madagaskar, zawilec leśny, wiatropylne, deklinacja-zaimków, Napoleon, Dąbrowski, „Powrót taty“, czwarty artykuł wiary — i najmocniejszy — głód.

— Przyjdą jutro, czy nie przyjdą?

Nie przyszli i paczki z chlebem nie przysłali. Więc Helka decyduje się iść pieszo. Już nie ma od kogo pożyczać dalszych kromek. Jeżeli wyjdzie zaraz po lekcjach, na wieczór będzie w domu. Trzydzieści parę kilometrów to jeszcze nie koniec świata. A rano jeśli wyjdzie o świcie, na lekcje zdąży. Może się jaka fura trafi po drodze...

I tak szły lata. Helka już była przed maturą. Planowała sobie, że bodaj ostatnie wakacje spędzi gdzieś na szkolnej kolonii — najchętniej nad morzem, którego jeszcze nie widziała. Cieszyła się, już porobiła przygotowania, gdy dowiedziała się, że ojciec chory i ledwie się trzyma na nogach. Czyli nie z morza. Trzeba jechać na wieś i pomóc przy żniwach. Matka z siostrą nie obrobiją pola. Brat w wojsku... Tak, wychodzi na to, że szkoda marzyć o wakacjach.

Czy straciła wiele? Wróciła do szkoły opalona, zmęczona, zahartowana. Nic dziwnego: sama prawie zżęła zboże, sama zwoziła do stodoły, sama wzięła za plug, zaorała, zasiała, — a gdy uporała się z najpilniejszymi robotami, właśnie wakacje się skończyły i trzeba było wracać do miasta. Wróciła z pełną piersią wsi, słońca, rosy, zapachu ziemi i umiłowania trudu. A wszyscy, którzy ją spotykali, nabierali dla niej jeszcze więcej szacunku — tak w mieście jak na wsi.

Dziś w tej wsi jest inaczej. Obok wielu zmian może najważniejsza ta, że młodzież z okolicy nie potrzebuje szukać stacji w odległym mieście, nie musi oczekiwać, aż ktoś ze wsi zjawi się z węzłem, nie musi przymierać głodem, bo może bez trudu kształcić się na miejscu. Tak, może się kształcić we własnym gimnazjum na wsi. Dziwne to gimnazjum. Na razie mieści się w wynajętych izbach wiejskich — a więc pod strzechą. Uczniowie i nauczyciele też pochodzą spod strzechy. A założycielką i dyrektorką jest dobrze nam znana pani Helena.

I nie jest to jedyne gimnazjum na wsi. Przybywa ich coraz więcej dzięki takim ludziom, którzy prawdziwie umiłowali wieś i pragną jej dać największe bogactwo — wiedzę.

Wł. Dunarowski



Syn ziemi kujawskiej

W Szymborzu pod Inowrocławiem urodził się jeden z największych poetów polskich — Jan Kasprówic. W tym roku mija dwudziesta rocznica jego śmierci.

Janek był synem biednego chłopca. Ziemi było mało, więc ojciec chodził do pracy na „pańskie“, by wyżywić liczną rodzinę. Janek od najmłodszych lat pasał gąski, a gdy dorósł, jedyną krowinę oprowadzał po miedzach, by skubnęła trawy tu trochę, tam trochę. Zdolności do nauki miał duże i chociaż przez cały dzień pracował, w szkole najlepiej odpowiadał na pytania nauczyciela. Nauczyciel namawiał rodziców, aby Janka posyłali do gimnazjum w Inowrocławiu, bo szkoda wielką byłoby, gdyby się taki talent zmarnował.

Kasprówicowie nie mieli jednak pieniędzy na naukę dla syna, ani na opłacenie drogiej stacji w mieście. A Janek chciał się uczyć. Zgodził się więc ojciec co dzień po dwie godziny dłużej pracować u pana, by starczyło na opłacenie nauki dla Janka: Na stację jednak nie starczyło. Chodził więc Janek codziennie dwie godziny do szkoły, kładząc do kieszeni pajdę chleba i gomółkę sera. Najgorzej było zimą, kiedy były mrozy i dał ostry wiatr. Kładł wtedy na nogi buty ojeowe. Były za wielkie na drobne jego nogi, więc wypchał je słomą. Ubrał się w kozuch ojca i nie opuścił ani jednego dnia w szkole. Oj, ciężko było Jankowi. Koledzy w mieście wyśmiewali się z niego, że był po chłopsku ubrany, a i nauczyciele Niemcy niemało mu dokuczali.

Nie zważał na to Janek. Uczył się pilnie lekcji i wytrwale dążył do celu. W Inowrocławiu zawarł znajomość z młodzieżą rzemieślniczą. Urządzał z nią zebrania, na których uczył ich pieśni polskich, opowiadał o Kościuszcze i dawnej świetności narodu. Budził w nich też wiarę, że Polska znowu powstanie do niepodległego życia, a będzie to Polska, w której nie będzie krzywdy ni chłopca, ni rzemieślnika. Na tych zebraniach Jan Kasprówic czytał swym kolegom z miasta również pierwsze swoje wiersze.

W wierszach swoich Kasprówic często powraca do rodzinnych Kujaw. Posłuchajmy, jak opisuje wioskę rodzinną:

Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach;
Za chatami krępy sad wiśniowy;
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodołach, przy niskich obórkach.

Płot się wali; piolun na podwórkach,
Tu rzą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewczek wieniec zdrowy
W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Stare chaty! Nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co lżawią obficie.
Hej! Czy przyjdzie czas, co lży te spłoszy?

L. B.



Głos z eteru

— Już jada, jada! — wykrzykuje Kazik, wskazując na podnoszący się od strony lasu kurz.

— Nam pierwszym założą głośnik, nasz dom stoi najbliższej poczty, a tam w tej wielkiej izbie mieści się radiowęzeł.

— Ale słuchać będziemy dopiero wtedy, kiedy rozprowadzą przewody po całej wsi.

— Ja się tak cieszę jak nikt w Choceniu. Słuchać będę od rana do nocy. A Marysia z Zosia będą tańczyły oberki, kujawiaki, krakowiaki, wszystko, co tylko zagrają.

— Wiesz co — mówi poważniejąc Wacek — podobno z Anglii niektórzy już się w radio odezwali. A może mój tatuś się odezwie?

— No, chyba. Nigdzie nie może napisać, bo nie zna waszego adresu. Nawet się może nie domyśla, że wyprowadziliście się z Wilna.

Do wsi zbliżają się wozy naladowane długimi słupami. Zajechały pod murowany budynek, gdzie mieścił się urząd pocztowy. Złożono je pod ścianą i nawrócono. Inni robotnicy zabrali się do oczyszczania pni z kory. Uważano, by wszystkie były równe. Zbyt długie przetrzynęto. Prace prowadził kierownik radiowęzła. Nie potrzebował przynaglać do pośpiechu. Od chwili, gdy osada uchwaliła przeprowadzić radiofonizację wsi, czyniono wszystko, by jak najwcześniej gospodarze mogli korzystać z dobrodziejstw radia. Obsługa techniczna przygotowywała stację nadawczą. W obszernej izbie od kilku dni stał już okazały siedmiolampowy radioodbiornik, zasilony wzmacniaczem, z którego za pomocą dwóch przewodów rozprowadzonych po całej miejscowości przepływać będą skoeczne dźwięki muzyki, ciekawe audycje dla wsi i dużo wiadomości o świecie i życiu ojczyźnego kraju. Na dachu radiowęzła umocniono stojak z poprzecznikami i izolatorami. Skoro tylko ilość słupów będzie wystarczająca, rozciągnie się przewody i wbuduje głośniki w poszczególne wiejskie izbach.

Wacek z Kazikiem codziennie liczą słupy. Obydwaj stwierdzają, że tempo pracy jest stanowczo za powolne. Zabierają więc z domu strugi i pomagają oczyszczać pnie.

— Czy wiesz, że tylko Chocień będzie miał głośniki radiowe? Wilkowice i Śmiłowice będą musiały jeszcze trochę poczekać.

— A ja słyszałem, że moja ciocia w Przedczu też będzie mogła słuchać radia. Za mało zgłosiło się abonentów, więc tam nie będzie radiowęzła, tylko u nas. Chcą jednak doprowadzić z naszej wsi druty do miasteczka.

— Takie radio to dobra rzecz — zauważa Wacek — 350 zł nie dużo, mama nawet nie kupiła głośnika na raty.

— Widziałeś ten odbiornik na stacji? Podobno szwedzki. Najlepszej klasy.

— Kierownik radiowęzła opowiadał, że odbiór będzie lepszy, niż w mieście. Musisz wiedzieć: radioodbiornik trzy, choćby pięciolampowy nie zastąpi siedmiolampowego...

Robota dobiegała końca. Miejscowa ludność nazwoziła pni w dostatecznej ilości. Nazajutrz wkopywała słupy. Równocześnie rozprowadzono przewody i wbudowano głośniki. Drugiego dnia nastąpiło otwarcie radiowęzła.

W spokojnej dotąd wsi zawrzało jak w ulu. Cała prawie osada zdawała się podskakiwać w takt muzyki. Najwyżej chyba podskakiwał Wacek z Kazikiem. Wszystkie inne zajęcia straciły na ważności. Słuchano tego dnia do późnej nocy.

Wacka oderwać nie można od niedużej, czworokątnej skrzynki, przymocowanej do kąta. Przyciąga go muzyka, ciekawe audycje dla dzieci, wiadomości z dalekiego miasta, a kiedy zapowiadają „skrzynkę poszukiwania rodzin z zagranicy“, wsluchuje się w głośnik z zapartym tchem. Żeby choć jedno, najkrótsze usłyszeć słowo, znak życia najmniejszy, dalby za to wszystko, co posiada najlepszego. Nie zraża się, gdy obce tylko padają nazwiska, będzie czuwał stale, nie opuści żadnej audycji.

Aż w sobotę, gdy wszyscy zasiedli przy stole, stało się w rodzinie Pawlaków coś niezwykłego, co spowodowało wielką zmianę w usposobieniu każdego członka rodziny.

Usłyszano wyraźnie: „Jan Pawlak z Wilna prosi rodzinę o znak życia...“, później podano adres, którego nikt nie zapamiętał.

— Słyszałaś — upewniał się Wacek, to tatuś odezwał się z Anglii. Wszyscy przytakiwali. Istotnie: imię, nazwisko, miejsce dawnego zamieszkania — to nikt inny, tylko ich ojciec.

W niedzielę po nabożeństwie, na którym Wacek szczególnie gorliwie się modlił, zwrócono się do kierownika radiowęzła, by przy powtórzeniu tej wiadomości zapisał trudny do spamiętania adres. Wiadomość została powtórzona. Za pośrednictwem miejscowego przedstawiciela Polskiego Radia wysłano tą samą drogą odpowiedź i dokładny adres szczęśliwej rodziny.

Wacek promieniał z radości.

F. G.



Staś na targowisku

Na dworze zaczyna dopiero świtać. Powoli rumieni się poranna zorza. Dzień zapowiada się pięknie. W zagrodzie Mroczyńskiego i u sąsiadów w całym Opaleniu gwaro i wielki ruch. Stasio, młodszy syn Mroczyńskiego, biega już po podwórzu i przygotowuje wóz do drogi na targ do miasta.

— Stasin! Stasiu! — woła matka. — Opamiętaj się, nie biegaj tak, tylko rób wolniej, a dobrze. To mówiąc owijała w biały pergamin ser i masło, a Staś układał jajka do koszyka, przesypując je siewką.

— A wystaw bańkę z mlekiem z komory! Trzeba zawieźć ją do miasta, bo tam podobno małe dzieci mleka nie widzą. — Mamo! — woła Staś. — Które króliki weźmiemy do miasta? Czy tę parę gołąbków także mam...

— A cóż ty wszystko chcesz wywieźć?

— A czy to nie słyszeliście, jak sołtys prosił na zebraniu gromadzkim? Jeżeli my na wsi nie będziemy myśleli o wyżywieniu miasta, to tam zapanuje głód.

Choć tych królików tak mi żal! To przecież podarek imieninowy od chrzestnego.

Staś stał chwilę, wpatrzony w dwa króle, chrupiące marchewkę. Po chwili klatka z królikami stała już na wozie.

— A nie zapomnij kwitów od świadceń rzeczowych — woła przez okno niewiasta do męża, który worki napelnione ziarnem, przekładał słomą, aby się w drodze nie przetarły.

Przed odjazdem Mroczyński wyznaczył robotę dla Władka i Zosi, a przeżegnawszy się na wozie, wyjechał za bramę.

— Droga ciężka — mówi ojciec do Stasia, siedzącego obok. — Deszcze przechodzą, to i błota dużo.

— Ale żytko idzie w górę w tym roku — wtrąca Mroczyńska.

— Marzec był suchy, a mokry jest maj, więc żyto wyrośnie kieby gaj — śmieje się Mroczyński.

— Widzisz, Stasiu, te słupy tam pod lasem? O! tam, tam! — i wskazuje batem ciemny i osnuty mgłą oparów stary las. To szosa do miasta. Matko! Zejdźmy z wozu, bo kary zaczyna się pocić, a trzeba go oszczędzać. Tak gwarząc dociągnęli do szosy. — Teraz siadajmy. Po szosie jak po stole, pojedziemy wartko.

Jechali długo — prawie dwie i pół godziny. Sąsiedzi z Opalenia i Grudowie mijali ich po drodze. Wszyscy śpieszyli na targ.

W mieście od samego rana ruch, ścisk i wrzawa, a przecisnąć się trudno przez ulicę. Bo i czego tu nie ma? Gospodynie wykładają swój towar: gęsi, kaczki, kury, indyki, króliki i gołębie. Na wozach ziemniaki, zboże i warzywa, masło, ser i jaja. Jest wszystko to, co wieś może przywieźć do miasta.

Po drugiej stronie rynku stoją stragany, a na nich moc towarów: pończochy, wstążki, książeczki, guziki, garnki i wiele innych rzeczy. Jeszcze dalej stare ubrania, płaszcze, koldry i poduszki. Między straganami dużo ludzi, tłoczących się i szukających czegoś dla siebie. Wszędzie jednak panuje porządek. Ulice zamiecione, błota nie widać. — Tato! Patrz, jak tu czysto i ładnie. Czy u nas we wsi nie moglibyśmy usypać szosy? — pyta Staś ojca. — Jak się to mrowisko ludzkie rusza i kłębi — myśli Staś. — Ilu to ludzi musi mieszkać w takim mieście? Tyle domów i tyle sklepów. Co też ci ludzie robią w mieście? — Tak rozmyśla chłopiec, gdy tymczasem ojciec sprzedaje ziemniaki. Mroczyńska szybko pozbyła się masła i jajek, bo tego towaru dziś było niewiele.

— Tato, co robią ludzie w mieście? — pyta Staś. Na to ojciec: — Patrz! Tu napisane: szewe, tam krawiec, a tam w rogu kowal. W fabrykach wytwarzają narzędzia rolnicze. Właśnie teraz pójdziemy z Gackim po brony i radło.

Staś, stojąc na wozie, widział, jak gospodarze nieśli różne potrzebne im narzędzia. Józef od sąsiada niesie kilka par widel związanych drutem, jego ojciec łopaty i grabie żelazne. Przy sąsiednim wozie gospodarze oglądają ułożony na drągach kierat i sieczkarnię.

— Te wszystkie towary, które widzisz na straganach i w sklepach, są wyprodukowane w mieście — mówi ojciec wracając. — Fabryki wyrabiają sukno i płótno, a krawiec szyje ubrania. Garbarnie wyprawiają skórę, a szewe robi buty. Stolarz wyrabia...

— Mamo! mamo! — woła Staś. — Przecież Zosi buty trzeba kupić!

Matka, biorąc syna za rękę, poszła robić zakupy. Dla Władka kupuje nową czapkę, a dla Zosi ładne pantofelki. Przechodzili właśnie koło wystawy z cukierkami. Stasio odwrócił głowę, patrzył na te cuda i oblizywał się.

— Kupię ci, kupię, ty łakomeczuchu, tylko chodź, a patrz przed siebie, bo jeszcze wpadniesz pod wóz albo samochód.

— Oj, jakie tu są ładne wstążki i koraliki!

— Kupię Zosi te wstążki — mamo.

Weszli do sklepu. Staś długo przebierał wstążeczki, bo co następna, to ładniejsza. — Mamo, które mam kupić, czy czerwone, czy zielone? — Kupił czerwone, zadowolony, że Zosi na 15 maja ofiaruje taki podarek, przepychał się śmiało przez ciżbę ludzi, którzy śpieszyli, potrącając jedni drugich.

Tymczasem Mroczyński z Gackim czekali na ich przyjście. — A pilnuj dobrze konia, aby jaki złodziej derki z niego nie ściągnął — ostrzegał ojciec. Poszli do Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej. — Chłopiec siedzi na wozie, bat schował pod siedzenie i patrzy na to duże miasto, jakby chciał na zawsze zapamiętać te kominy, sklepy i kościoły.

— Na wsi musimy tak pracować, aby tych ludzi w mieście wyżywić. — Tak, tak, prawdę mówił soltys na zebraniu. — Tak się zamyślił, że nie zauważył, kiedy ojciec założył konia do odjazdu.

— Wracajmy do domu! Już południe — mówi ojciec.

— Jedźmy prędzej, prędzej! Trzeba zasadzić u Gackich ziemniaki. Walkowi obiecałem pomóc. W mieście tylu ludzi pracuje dla nas, więc i my musimy o nich pamiętać.

Spojrzał ojciec na syna, a uśmiechając się z zadowolenia do żony, emoknął na konia, nagłąc do pośpiechu.

J. Ewiak

Strach

Jestem sobie strach —
straszę swym wyglądem:
po całutkich dniach
kapeluszem z rondem.

Kij jeden ze sztachel
wparł mi się pod pachę,
drugi wbity w poprzek
o pierwszy mógł się oprzeć.

W wiosny pierwsze święto
w kije mnie wciągnięto,
przystrojono miechem,
w rękę dano wiecheć.



Otdąd, wróbli ludku,
nie ma cię w ogródku.
Wymachuję, grozę,
aż mnie trud nie zmoże.

Dziurawy kapelusz
odstraszył już wielu,
szerokie rękawy
nie dmą dla zabawy.

A gdy się utrudzę,
to patrzę, jak ludzie
przerzucają pługiem
smugi ziemi długie.

Franciszek Grott

Kocięta

Murzynka pochodziła z miasta. Chowala się u rodziców Adka, który chętnie bawił się z kotką. Myszy w mieszkaniu nie było. Toteż kotka prawie cały dzień wylegiwała się na poduszce pod piecem. Pewnego dnia wpadła do mieszkania ciotka Agata ze wsi. Zobaczywszy Murzynkę leniwie wyciągniętą na krześle, tak się odezwała do Adkowej mamy:

— Macie kota, który u was nie ma co robić. My nie mamy żadnego, a myszy sobie w stodole coraz śmielej poczynają. Oddajcie nam waszego. Będzie mu dobrze na gospodarstwie.

Po krótkiej naradzie postanowiono oddać Murzynkę na wieś. Adaś wsadził ją do kosza, który przykrył płótnem, uważając, aby powietrze dopływało do wnętrza. Murzynka pojechała z ciotką.

Na wsi kotka wkrótce przyzwyczaiła się do nowego otoczenia. Polubili ją wszyscy: wujek, ciotka, a szczególnie dzieci. Już nie wylegiwała się w pokoju. Większą część dnia spędzała w stodole i czatowała na myszy, które poczuwszy kota, chowały się w najgłębsze dziury. Biada tym, które wynurzyły się z kryjówek! Wpadały w szpony Murzynki.

Po kilku tygodniach kotka nagle zniknęła. Minał jeden dzień... drugi... trzeci... Nie było jej.

— Meże ją jakiś zwierz pożarł — mówiły dzieci i posmutniały bardzo. Czwartego dnia wszedł wujek do izby, wołając:

— Wiem, gdzie jest Murzynka!

— Gdzie? Gdzie? — chciały wiedzieć dzieci.

— Nie powiem. Szukajcie jej w stodole.

Dzieci szukały przez cały dzień. Nareszcie znalazły w sianie gniazdo, a w nim Murzynkę z czworgiem młodych. Brały kociątka do ręki, przypatrując im się pilnie. Młode były grubiuskie jak kluski, ślepe i nieładne. Rozczapierzywszy łapki, miauczały żałośnie.

— Miau! Miau! Miau! — rozlegały się piskliwe głosiki.

Kiedy dzieci złożyły młode z powrotem do gniazda, matka łapką przygarnęła je do siebie i zaczęła lizać, jakby chciała mówić:

— Nie bójcie się. Jestem przy was. Nie wam się złego nie stanie!

Dzieci przez kilka dni nie zaglądały do kociąt. A tu pewnego słonecznego dnia kotka wyprowadziła swoją trzodkę ze stodoly na podwórze.

— Jakie ładne te kociątka! Jakie pocieszne! — zachwycały się dzieci.

— Widzicie, jak urosły!

— Oczy też już mają otwarte!

— Ten czarny będzie mój!

— Ja chcę burego!

— A którego ja dostanę? — pytał się mały Ignasz.

— Weźmiesz dwa ostatnie...



Ileż to uciechy było z młodych kotków! Bawiły się przez cały dzień. Biegły za byle słomką, za każdym piórkiem unoszącym się w powietrzu. Goniły się wzajemnie, a dogoniwszy, wywracały, obejmowały łapkami, tarzwały się po ziemi niby puszyste kłębki. Kocia matka siedziała obok wyprostowana i mruczając z zadowolenia przypatrywała się zabawnym harcom dzieci.

Powoli zaczęła zaprawiać młode do kociego rzemiosła, pouczała o sposobie łowienia zdobyczy. Od czasu do czasu przynosiła ze stodoly pokasana, lecz jeszcze żywą mysz. Sadzała ją przed sobą i przywoływała młode. Miały jej się przypatrzeć, wypróbować na niej łapek, pazurków, nauczyć się skoków, chwytów. Kotki krążyły koło zdobyczy. Raz po raz któryś ją trącił łapką. Nagle jeden drugiego napadł zniemacka, przewrócił. Kotki zwarły się razem i ugrzęzły zębami w sierści przeciwnika. Przy zabawie zapominały o myszy, którą matka w końcu-sama zjadła.

Murzynka dużo miała pracy, aby wyżywić tak liczną rodzinę. To przynosiła mysz, to znowu złowionego w polu ptaszka. W ostatnich dniach pojawiła się na podwórzu nastroszona kwoka z kureczętami.

— Trzeba by raz skosztować pieczeni z kureczątka — pomyślała Murzynka. Przyczaiła się koło stadka. Lecz czujna kwoka odgadła kocie zamiary. Rzuciła się na Murzynkę i tak boleśnie dziobnęła ją w plecy, że kotkę na zawsze odszedł apetyt na kurzynę.

Na podwórzu, gdzie sypało się ziarno ptactwu, gromadziły się codziennie stada wróbli. Cwierkały głośno, wlatywały, znowu opadały i klóciły się zawzięcie. Młode kotki zwinęte w kłębek spały pod domem, gdzie słońce najwięcej grzało. Murzynka zdawała się również drzemać. Lecz mimo przymkniętych powiek doskonale wiedziała, co się naokoło działo.

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
Gdańsk
PE 11/02

— Złowię wróbelka, będą dzieci miały pyszny podwieczorek się ku świergocącym ptakom. To się posuwa naprzód, to się wyciąga łapki ku wróbelkom i patrzy na nie tak przyjaźnie, i przygotowuje się do ostatecznego skoku, już ma się rzucić na je r... r... i wróbelki poleciały na najbliższą gruszę. Kotka jak z

Kocięta rosły w oczach. Wyprawiając różne haree bawili dawniej. Za to częściej czatowały na zdobycz. Naśladując matkę coraz więcej doskonaliły się w lowieckim rzemiośle.

Joanna Markowska

Dzień dobry

Zaszumiało nasze pole
Złotą pieśnią zbóż.
Wschodzi, wschodzi śliczne słonko
Wśród różanych zórz.

Dobry dzień ci, wiosko miła,
Drogi domku ty!
I wy, świeżo rozkwitnione
Pod okienkiem bzy.

Wschodzi, wschodzi złotą drogą
Nad ten ciemny las.
A skowronek z gniazodka leci,
Piosnką budzi nas.

Dobry dzień wam, dobrzy ludzie,
Co idziecie w świat
Z jasną kosą na ramieniu
Miedzą wpośród żyt!

Dobry dzień wam, lasy ciemne,
Stojące we mgle!
I ty, mały skowroneczku,
Co zbudziłeś mnie!

Maria Konopnicka



Jak Błażej zasiał len

Jest maj. Opustoszała chałupa, za to rojno i gwarno na polu. Jasnowłosa Broncia dwie czerwone krówki pasie na ukwieconej łące. Zaplata długie warkocze i śpiewa radosne piosenki. Zosia pomaga tatusiowi w oree, poganiając kasztana. Pracuje z ochotą wielką, bo to pod len. Jutro, jeśli Bóg da pogodę i ziemia obeschnie, posieje tato już od miesiąca przygotowane siewki.

Małe jest gospodarstwo Błażeja Skiby. Ledwo pod chleb i ziemniaki gruntu starczy, ale dziewczęta uprosiły ojca, by jeden mały zagon na len przeznaczył. Ostatnią skibę odwalil srebrzysty lemiesz, gdy zza stodoły pokazała się Błażejowa z podwieczorkiem. Siedli wszyscy na majowej murawie i zajadali z apetytem ciemny razowiec, popijając chłodnym mlekiem.

Na drugi dzień słonko nie skapilo swego blasku. Zaorana i zbronowana ziemia czekała na posiew. Przepasał się Błażej płachtą siewną, zanurzył spracowaną dłoń w gładkiej, sypkiej masie siewnika i wszedł na zagon. Sypał ziarno na pulchną glebę, bacząc, by je równiutko rozprowadzić.

Po kilku ciepłych dniach zazieleniła się rola ze lmem świeżym, soczystym zielonością młodziutkich roślinek. Majowy deszczyk zraszał je często, słońce ogrzewało, a dziewczęta oczyszczały pilnie z chwastów. Po jakimś czasie był już dorodny, bujny, wzrostem równy jęczmieniowi. Pełnię urody zdobył, gdy zakwitł. Błękitne niebo użyczyło barwy drobnym kwiatuśkom, którymi obsypały się delikatne roślinki.

Halina Burkowa